

W dół Rio Beni

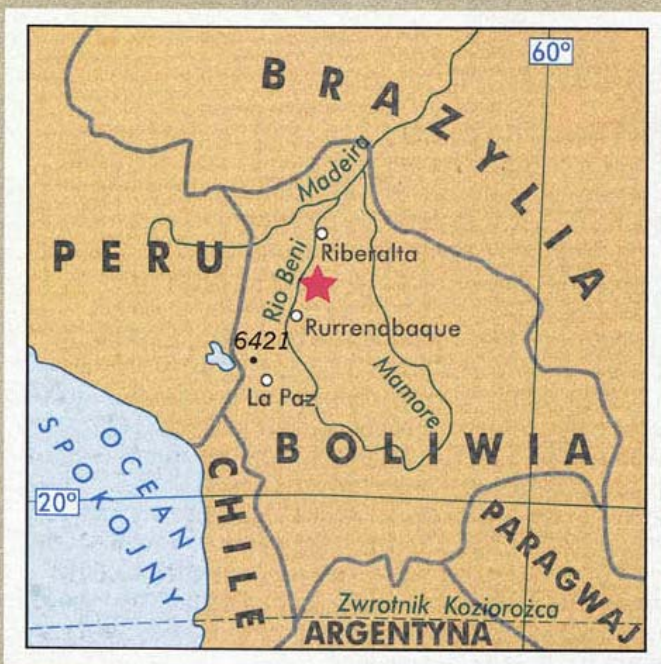
– Byłeś w Boliwii już dwukrotnie, trzeba chyba mieć nierówno pod sufitem, żeby się tak daleko pchać i to po raz trzeci – komentuje mój ojciec, kiedy dowiaduje się, że po raz kolejny jadę do Boliwii.

– To jest zupełnie inny kraj... – próbuję tłumaczyć, lecz żaden z moich argumentów nie przekonuje go; stanowczo twierdzi, że najwyższy czas, bym się ustatkował.

PIOTR OPACIAN

Podróż

Kiedy po dwóch godzinach podróży autobusem, czternastu godzinach lotu samolotem Lufthansy i dwudziestu godzinach jazdy autokarem w poprzek Brazylii wchodzimy w boliwijskim przygranicznym miasteczku Puerto Quijarro do naszego wagonu, przekonujemy się po raz kolejny, że właśnie przekroczyliśmy coś więcej niż tylko granicę między dwoma państwami. Wagon po jednej stronie jest załadowany paczkami aż po sufit, co powoduje jego niebezpieczne przechylenie, które grozi wykojeniem. Konduktor mówi, że wagon nie pojedzie i tubylcy zaczynają nerwowo przekładać część bagaży na przeciwną stronę, czyli na miejsca nasze i innych pasażerów (jest oczywiście komplet).



– To są nasze miejsca – tłumaczę – nie będziemy mieli gdzie siedzieć.

– Jeśli ich nie przełożymy, to wagon nie pojedzie – odpowiadają z powagą.

– Zapłaciśmy za te miejsca i jeśli bagaży jest za dużo, to trzeba część wyładować – ripostuję – to nie jest pociąg towarowy.

– To jest Boliwia, możecie jechać na stojąco w innym wagonie – zaskakuje mnie ich proste rozwiązanie.

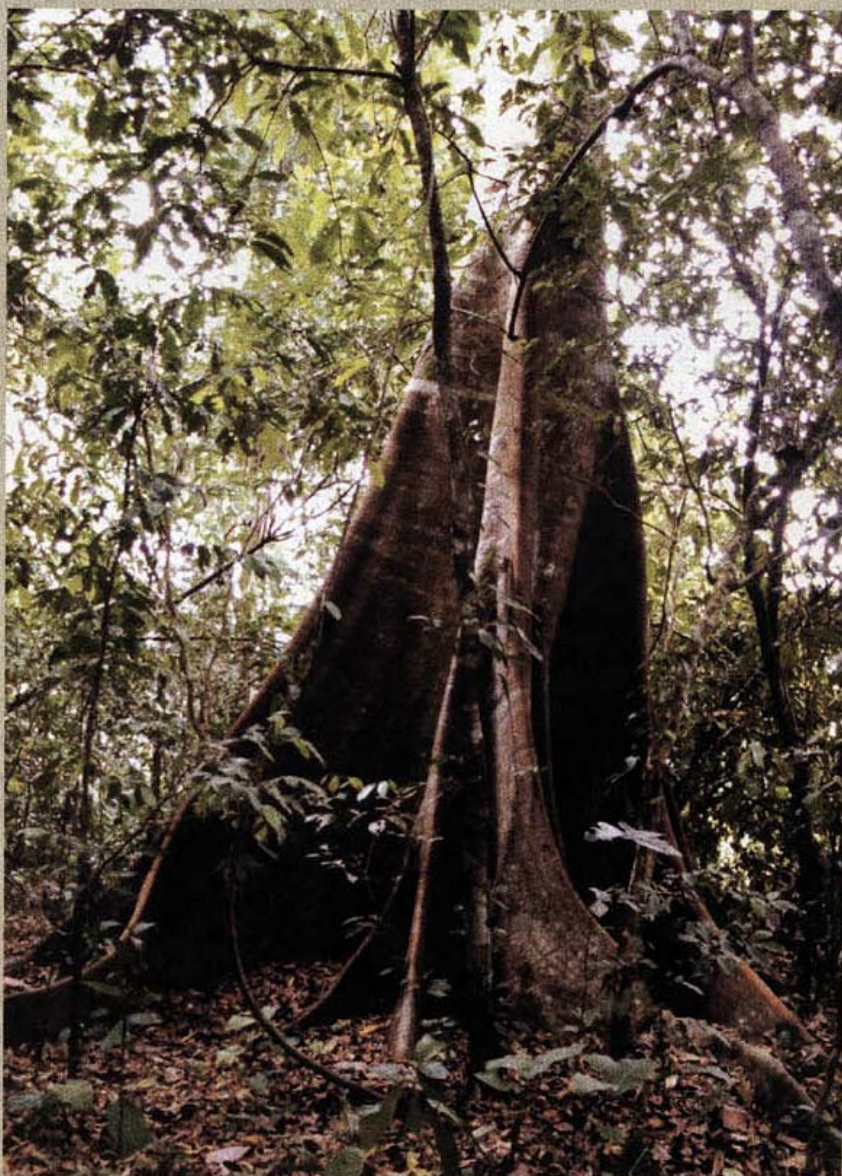
Kiedy część pasażerów opuszcza niefortunny wagon, a my ciągle zaciekle walczymy o nasze miejsca, wagon zostaje odczepiony i odstawiony na bocznicy. W pośpiechu wyskakujemy, co nie jest łatwe z naszymi olbrzymimi bagażami, i pędzimy na peron. Wskakujemy do nowego wagonu w ostatniej chwili, pociąg rusza po kilku sekundach, na nikogo nie czeka. To chyba jedyny sposób, by i z tego wagonu nie zrobić wagonu towarowego. Ci, którzy nie zdążyli, oczekają do następnego dnia.

Po około dwudziestu godzinach podróży, w trakcie której niejedna głowa wsparła się na moim ramieniu (okazuje się, że jest nadkomplet), wysiadamy w Santa Cruz. Jeszcze tylko 14 do 15 godzin do La Paz i około 20 godzin do Rurrenabaque najniebezpieczniejszą drogą na świecie i "już" jesteśmy na miejscu. To tu, w Rurre, rozpoczynamy spływ rzeką Beni, tylko we dwoje, około 900 kilometrów przez boliwijską Amazonię do Riberaltu: my, ona i Indianie.

Poranek jak co dzień

Budzę się z głębokiego snu: jest ciepło i przyjemnie, przez chwilę zastanawiam się, gdzie jestem. Rozpinam namiot, wysuwam głowę. Słońce jeszcze nie weszło, ale robi się widno. Rzeka spowita jest we mgłę, którą kłębi i przegania lekki poranny wiatr. Dziwne, fantastyczne kształty raz to pojawiają się, raz to znikają w białej wacie.

Jeszcze chwila i czerwone światło wschodu słońca oświetli stojące tu od wieków olbrzymy. Ciszę poranka przerywa głośny chłopot: to spóźniony tapir w pośpiechu przepływa rzekę, by się ukryć w swojej ostoi i bezpiecznie przeczekać dzień. Łamane gałęzie, dwa, trzy gwizdy i znika w gąszczu przeciwległego brzegu. Nagle nad głową słyszę trzepot skrzydeł i głośny chrapliwy skrzek – ary jak co dzień lecą z noclegowiska na żerowisko. Z dżungli dochodzą przeróżne głosy, głosy, które znam, ale często nie wiem, do kogo należą. Wychodzę z namiotu, biorę maczetę, rąbię drzewo i rozpalam ognisko. Iwona gotuje zupę mleczną. 20 metrów dalej zauważamy dwumetrowego węża. "Łapie" ciepło pierwszych promieni słonecznych, jest jeszcze jak w letargu. Jemy śniadanie i obserwujemy, jak wolno pelźnie w stronę rzeki, by po chwili zniknąć w jej wodach. Iwona zmywa, ja zwijam namiot, wsiadamy do kajaka i płyniemy – nie wiemy, co przyniesie nam ten dzień.



Największe olbrzymy chowają się w gąszczu, zazdrośnie strzegąc swego majestatu. W płytkiej, tropikalnej glebie olbrzymie drzewa nie mogą rozwinąć wystarczająco silnego systemu korzeni, który byłby w stanie je utrzymać. Wykształcają więc system przypór – kilkucentymetrowej grubości niby-ścian, rozbiegających się koncentrycznie na kilka metrów.



Boliwia

Z krajów Ameryki Południowej najtrudniej dotrzeć do Boliwii – z Europy nie ma żadnego regularnego połączenia do La Paz. Podróż przez Miami, tak jak i do lot z Sao Paulo czy Limy, bardzo pod-

nosi koszty podróży. Najlepszym więc rozwiązaniem jest droga lądowa, ale ta, szczególnie z Sao Paulo, jest tylko dla "twardych" globtroterów. To bardzo męcząca podróż i wcale nie tylko dlatego, że jest długa. Z nizin okalających Altiplano od wschodu i północy, złej jakości drogi w szybkim tempie wznoszą się do wysokości ponad czterech tysięcy metrów. Wdychając najgorszego sortu spaliny, z darmową terapią wstrząsową, walczymy z bólem głowy – symptomem choroby wysokościowej. Kto widział, by wspinać się z wysokości dwustu-trzystu metrów na wysokość

Zagroda jak dawniej, dłubanka jak dawniej i łódź z motorem – dowód zmieniających się czasów.

Rurrenabaque

Rurrenabaque to mała miejscowość, położona około dwustu kilometrów na północ od La Paz. Leży u stóp Andów i jest bramą do boliwijskiej Amazonii. Powstało tu sporo agencji oferujących turystom kilkudniowe wycieczki: na zachód w dżunglę i na wschód na sawannę. Jest ostatnim punktem na północy, do którego dociera "przeciętny" turysta; dla nas miała być początkiem spływu – wszystkich gringos mieliśmy zostawić za sobą – i zostawiliśmy! Zakupy w Rurre: kilogramy ryżu, makaronu, ziemniaków, mleko w proszku, mięso, ... etc. Potem rozkładanie naszego "składaka", które wzbudziło ogromne zainteresowanie wśród mieszkańców. Zatknięcie flagi i odbicie w nieznaną. Targała mną niepewność: Czy wystarczy prowiantu? Ile zabierze nam to dni? W linii prostej to 420 kilometrów, długość rzeczywista to około 900 kilometrów; około, bo dokładnie nikt tego nie wie.

Rzeka

Rio Beni szybko zmienia się z rzeki o charakterze górskim w typową meandrującą rzekę nizinną. Jest pora sucha, mijamy więc co jakiś czas duże piaszczyste łachy, które są idealnym miejscem na obozy. Natrafiamy na nich na pozostałości po szałasach Indian, a czasami nawet na nich samych. Rzeka teraz, w swoim niskim stanie, podmywa pionowe pięcio-, sześciometrowe skarpy, odbierając dżungli co jakiś czas kolejne drzewo. Kilkukrotnie jesteśmy świadkami, jak z loskotem walą się do rzeki olbrzymie selwy. Przeogromne hałdy drzew są dowodem potężnej siły

4660 metrów, na której znajduje się przełęcz La Cumbre, w czasie 10–12 godzin. Ale Boliwia jest tego warta i wcale nie dlatego, że jest najtańszym krajem Ameryki Południowej; wcale też nie dlatego, że podróżuje się tutaj za bezcen. Jest to kraj najmniej spenetrowany przez turystów, tylko w okolicach La Paz jest ich dużo. To kraj pełen kontrastów, kraj ciekawej kultury i fascynującej przyrody. To kraj idealny dla globtroterów pragnących podróżować niezależnie; kraj, w którym dotrzeć można wszędzie bez żadnych pozwoleń.

wód płynących w porze deszczowej. Rzeka żyje, coś się w niej nieustannie kłębi, na brzegach wygrzewają się kajmany i żółwie, na płycznach czekają na swój posiłek rozmaite gatunki czapli, dławigady, bociany jabiru i różowoskrzydłe warzęchy. Powierzchnię wody tną swoimi dziobami brzytwodzioby, co chwilę wznosząc się z właśnie złapaną rybą. Zdumiewające są obrazy stojącej w bezruchu czapli i leżącego w wodzie dwa, trzy metry dalej kajmana. Wzdłuż rzeki bieżą dziesiątki tropów pum i jaguarów patrolujących swoje rewiry; aż się nie chce wierzyć, że jest ich tu tak dużo. To jest codzienność Rio Beni.

Selwa

Rzeka jest korytarzem w dżungli, jest arterią komunikacyjną dla tubylców. Jej brzegi zarośnięte są trudną do przebycia ścianą zielonego gąszczu. Z rzeki wygląda to niegroźnie, kiedy się jednak próbujesz w niego zagłębić, chwyta cię dziesiątkami macek i kolców. Tniez maczetą jeden pęd i ściągasz na siebie pięć następnych. Dopiero po wielu metrach walki docierasz do luźniejszego podszycia – do "nienaruszonej" przez rzekę dżungli, w której panuje odwieczny półmrok. Jej atmosfera, czar tajemniczości niejednokrotnie wabiły mnie głębiej i głębiej, ale jej wnętrze jest zdradzieckie, szybko sprawia, że nie wiesz, skąd przyszedłeś i jak wrócić. GPS w dżungli nie "złapie" najslabszego sygnału, baldachim drzew jest zbyt gęsty. Twój jedyny sprzymierzeńcy to kompas i ślady pozostawiane celowo na drogę powrotną. Potęgi dżungli nie można opisać, nie można jej też sfotografować – można jej tylko doświadczyć.

Ludzie

Za ujściem Rio Madidi, na której zrobiliśmy krótki rekonesans pod

prąd i która spodobała nam się tak bardzo, że jest już naszym następnym celem, brzegi rzeki stają się bardziej zamieszkałe. Coraz więcej jest chat, zbudowanych tutaj z bambusu i krytych strzechą z trzciny. Spotykamy regularnie małe osady, napotykamy nawet szkołę na brzegu rzeki, do której dzieci dowożone są przez rodziców oczywiście dłubankami. Kupujemy od Indian owoce: raz 50 pomarańczy za 2,50 złote, raz całe "drzewko" bananów – około 25 kilogramów – za 5 złotych. Nasz kajak wzbudza olbrzymie zainteresowanie: dotykają, sprawdzają, ścigamy się. Niektórzy chętnie pozują do zdjęć, pokazują nam, jak żyją; inni są raczej niechętni kontaktom, obserwują nas tylko dyskretnie. Na dzień przed dotarciem do Riberalty mijamy misję, położoną nie nad samą rzeką, ale nad

Indiański obóz na jednej z łach. Wraz z nastaniem pory suchej część Indian zaczyna prowadzić koczowniczy tryb życia. Przenoszą się z łachy na łachę w poszukiwaniu dobrych łowisk.



José ze swoim trofeum. Nazwa jaguar pochodzi od indiańskiego słowa yaguar – ten, który zabija jednym skokiem. Zabicie jaguara, niestety, napawa dumą – wyczyn znowu nie tak trudny, zważywszy, że Indianie postępują się dzisiaj bronią palną.

jej martwym zakolem, do którego wplywamy – zgodnie ze wskazówkami napotkanych Indian – wąską strugą. Kościółek i budynki misji są mrowane – widomy znak, że wracamy do cywilizacji. Dzień później, 24. dnia spływu, doptywamy do Riberalty.

To koniec

Port w Riberalcie to ta sama pięcio-, sześciometrowa pionowa skarpa, która towarzyszyła nam od Rurre, różni się tylko tym, że dobijają do niej stateczki i łodzie i że wyciętych jest w niej kilka ścieżek. Jak w większości tropikalnych miast życie zamiera tu, gdy słońce stoi w zenicie. Ludzie leżą w hamakach pod dachami swoich łodzi i czekają do wieczora, kiedy wszystko budzi się do życia ze zdwojoną energią. Nasze przyplnięcie burzy ten spokój. Składanie kajaka wzbudza ogromne zainteresowanie,

znowu jest dużo dotykania i pytań. Z cierpliwością, w tropikalnym skwarze, wyjaśniam i demonstruję. Na koniec zwijamy flagę – wyprawa zakończona. Jeszcze tylko kilka dni odpoczynku w subtropikalnym Chulumani, małym miasteczku w Sud Yungas, gdzie po drugiej wojnie światowej szukali schronienia wysokiej rangi niemieccy naziści, tacy jak Eichmann i Klaus Barbie, i wracamy przez Brazylię do Polski.

PIOTR OPACIAN



Indiańska piękność. Jej rodzice doptynęli o zmierzchu do farchy, na której się rozbiliśmy. Obóz założyli dwa, trzy metry od naszego namiotu – zasypiając, słyszeliśmy ich oddechy.



Codziennym zajęciem kobiet jest "mielenie" zboża. Robi się to w czymś, co najbardziej przypomina duży, drewniany moździerz – nieodłączne wyposażenie każdej zagrody.